

Polski Spisz

Migawka

Jak dostać się z Bukowiny Tatrzańskiej do pasma Lubania w Gorcach? Tylko przez chwilę rozważałem tę kwestię w aspekcie motoryzacyjnym. Zaraz, zaraz, mam przecież mnóstwo czasu, dwie nogi do chodzenia, plecak z najbardziej niezbędnymi rzeczami i tęsknotę za niespiesznym byciem w przyrodzie. Wprawdzie na zewnątrz mróz siarczysty, bo dwunastostopniowy, ale co tam. Jestem dobrze przygotowany do takich warunków. Jeśli więc nie teraz, to kiedy? Najlepszym czasem na zrobienie tego, co ma być zrobione, jest – teraz.

Zatem w drogę. Lubię ten moment, gdy na początku stoję przed otwartym dniem, jak przed niezapisaną kartą. Co się wydarzy, gdzie dojdę, gdzie będę spał? Te wszystkie niewiadome pokazują, jak niewiele ode mnie zależy. Mimo wszystko brak kontroli pozwala mi głębiej oddychać i nie lękać się tego, co ma być. Dojdę tam, gdzie dojdę. Niczego nie muszę. Niczego nie planuję.



Widok na Polski Spisz. Fot. Ryszard Kulik

Tak czy owak pomaga mi mapa, dzięki której mogę się zorientować w położeniu i kierunku marszu. To ważne, bo mam do przekroczenia rzekę Białkę. Jednak gdy stoję już nad jej brzegiem wypatrując przeprawy, która jest zaznaczona na mapie, mam wrażenie, że się zgubiłem. Pójdę w prawo wzdłuż brzegu – pomyślałem, może w końcu natknę się na most. Jak tu jednak iść, skoro po stronie, po której jestem, rzeka ciasno przytula się do stromego zbocza. Po niemal dwóch kilometrach mozolnego przedzierania się zbocze zamienia się w szeroką lodową rynnę. Przede mną po lewej wzburzona górská woda, a zaraz po prawej stromy lód. I to byłoby na tyle. Nie ma przejścia. Zdejmuję plecak, by odpocząć i rozgościć się w tej niewygodzie braku wyjścia. Zwykle wtedy, jak mówi moje doświadczenie, wykluwa się jakieś rozwiązanie.

Póki co zauważam na brzegu rzeki pluszcza. Najpierw jednego, potem na przeciwległym brzegu drugiego. No i stałem tak zauroczony tymi niepozornymi ptaszkami. Raz po raz nurkowały w samą kipieli, by po kilkunastu sekundach wypłynąć na drugim brzegu. W tej lodowatej wodzie i przy takim nurczeniu, który mógłby skosić mnie z nóg jak nic! Podobno tak dobrze sobie radzą dzięki silnym łapkoms zakończonym pazurami, którymi czepiają się kamieni na dnie. Co ciekawe, nie wskakują tak sobie do wody. Stojąc na brzegu podrygują trzy razy, jak pływak, który przełamuje lęk przed skokiem. No to na trzy: raz, dwa, trzy i pluszcz do wody. Ech, gdybym i ja tak mógł. Natłuszczyć się wydzieliną z kupra, by się mnie wilgoć i chłód nie imaly i przejść na drugą stronę. Niestety ani wydzielina, ani kuper nie ten.

Co robić zatem – droga redakcjo? Przez rzekę nie przejdę. Na wprost też, bo zjadę po rynnę do rzeki. Nie chcę też wracać, bo w tamtym kierunku na pewno nie ma przeprawy. Pozostaje zatem wspiąć się po stromym brzegu na górę. O, ale to też wydaje się karkołomne. Zbocze jest tak strome, że mogę się nie utrzymać i zsunąć wprost do rzeki. A stromizna jest co najmniej stumetrowa. Powolnie się w górę. Uważnie stawiam każdy krok, a moja świadomość napięta jest jak cięciwa. Gdy patrzę w górę, momentami wydaje mi się, że za chwilę utknę, bo będzie za stromo, ale podciągając się na gałęziach i niewielkich krzaczkach dwa metry dalej otwiera się jakieś dostępne przejście. Nie ma miejsca na zamartwianie się. Jest tylko ten jeden krok i kolejna decyzja, gdzie postawić następnie stopę. Gdy odpoczywam na niewielkiej półeczce, rozglądam się wokół. Czy ktoś tu kiedyś już był i widział to, co ja teraz widzę? Przypomina mi się relacja pewnego podróżnika, który wybrał się aż do

Peru, by zobaczyć jakieś odległe wodospady w dżungli. Z dumą stwierdzał, że był prawdopodobnie pierwszym białym, który je widział. No cóż, jestem teraz prawdopodobnie pierwszym białym, który widzi to, co widzi. Czy trzeba jechać aż do Peru? Uśmiecham się do siebie pod nosem na absurdalność tej konstatacji. Nawet jeśli nikt jeszcze przede mną nie stał w samym środku tego urwiska, to co? Cokolwiek widzę, czegokolwiek doświadczam, nikt inny tego nie ma. Każde spojrzenie jest ciągłym rozdzielaniem rzeczywistości. Wszystko zawsze dzieje się po raz pierwszy - w tej chwili. Niezmiennie - teraz. Nie ma nic innego. Tylko to. A te wszystkie zaliczone atrakcje, tabele z osiągnięciami i medale, które przypina się samemu sobie, mają się tak do rzeczywistości, jak wypchany wilk do żywego stworzenia.

W końcu wdrapuję się na górę i idąc na południe znajduję most na Białce. Chwała cywilizacji. Ciekawe, jak poradziłbym sobie, gdyby nie było mostów? A jak sobie radzę, gdy nie znajduję po zapadnięciu zmroku ciepłego hotelu, łóżka i prysznic? A tak: rozkładam w lesie na śniegu karimatę, wskakuję do ciepłego śpiwora i tyle. Problem jest tylko z czubkiem nosa, który mam ochotę wystawić na zewnątrz, a tu minus szesnaście stopni...

Ryszard Kulik